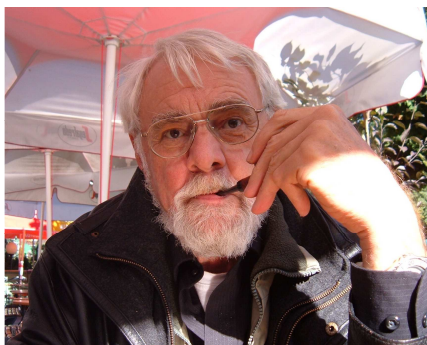


Zamyślenia



Łuk triumfalny

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia i Paryż stał się kolorowy jak wycinanka z dzieciństwa. Uroczyste obchodzenie powrotu jakiegoś czasu, któremu Jean Brun narzucił kiedyś własny pogląd, iż ów czas ma za zadanie umożliwienie ludziom doświadczenia w sposób namacalny, jak tenże czas spotyka się z wiecznością. W tym migotliwym błysku tysięcy lampek odczytałem adres Romana na wymiętej kartce i wsiałem do metra, rzecz jasna bez biletu. W tych peryferyjnych dzielnicach rewizorzy unikali kontaktu z kolorowymi pasażerami, a ja byłem białym.

Nie było łatwo znaleźć ten adres, gdyż nie było tu zwyczajnych kamienic czynszowych, a jakieś place budowy. Na szczęście na tablicach głoścących nazwy firm budowlanych odczytałem numery. W ten sposób znalazłem właściwy plac za stojącymi po środku barakami, długo szukając bramy lub jakiejś dziury w ogrodzeniu. W końcu przeskoczyłem powalony płot i zapukałem do drzwi, zza których dobywała się skoczna muzyka. Powtórzyłem pukanie i usłyszałem żołnierski odzew Romana: „Wejść!”. Wszedłem w niesamowity zaduch i w kłęby tytoniowego dymu. Poprzez tę ciężką zawiesinę rozpoznałem przyjaciela leżącego na jakimś wyrku pod okratowanym okienkiem.

– To ja!

– Salut! Wesołych Świąt i szczęśliwego Nowego Roku! Przyniosłeś szampana? – jego głos był ochrypły. Zaczął gramolić się niezadarnie z posłania. Wyglądał jak przydeптany futerał na skrzypce:

– Wybacz, stary, ale czuję się dzisiaj jakbym tonął. To ta pogoda mnie dobija. Tam, na południu Polski, zima była zimą, wiosna wiosną. Tu wszystko pogmatwało się w przyrodzie.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Ściany budy oklejone były kolorowymi piśmidłami oraz pocztówkami z całego niemal świata.

– Jak mnie tu znalazłeś?

– Miałem dobrego nosa.

– To daleko do Łuku Triumfalnego, gdzie umieścili nazwiska naszych dwóch bohaterów narodowych. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Francuzi są nudni jak norwescy dentyści. – Przysiadłem na wyrku obok niego wprost w zapadające się sprężyny. Roman z tej racji siedział wyżej i zauważył, że miał na sobie parę swetrów. W budzie było zimno, choć na stojącym na środku żelaznym piecyku coś się tliło.

– Czemu właśnie norwescy dentyści?

– Jeden z nich tutaj zepsuł mi uzębienie. A miałem pięknie, pamiętasz? – Mówiąc to otworzył szeroko usta. Na pierwszy rzut oka wszystko było w porządku.

– Powiedz mi, co można rzec komuś po tylu latach, kiedy właściwie wszystko już się powie-działo i napisało? Sny, wszystko to są sny. Bywają pośród nich te straszne, mroczne, z których człowiek budzi się zlany potem i zaraz myśli: chwała Bogu, że to był tylko sen, jeden z niedobrych snów. Ale Tobie też coś popsuło facjatę. To ta broda. Zrobić Ci herbaty? Ona wzmacnia nasze morale, więc sprawimy sobie taka przyjemność, jeżeli nie przyniosłaś ze sobą świątecznego szampana. – Mówiąc to, poczłapał w stronę prowizorycznego stołu. Tam, wylał zawartość plastikowej butelki odrapanego czajnika, potem wrzucił ręką grudki węgla do pale-niska piecyka.

– Jeżeli nic nie wiesz o Łuku Triumfalnym, to także nie możesz wiedzieć, że Paryż był miastem Trojan i trojański był rodowód króla Francji Filipa Augusta. Czytałem, że w roku 1186 król podszedł któregoś pięknego ranka do wykusza okna zamku na wyspie Cite, aby lyknać haust świeżego powietrza, ale tu uderzył go fetor z ulic. I to samo stało się z tobą, kiedy tu wszedłeś, widziałem. I dlatego król nakazał wybrukować ulice i place i w ten sposób odebrał miastu pierwotną nazwę... Lutecja. Lutea, czyli błotniaste. Dobrze mówię?

– Dobrze to wiedzieć. Znasz Paryż zapewne od podszewki.

– Kiedyś znałem, teraz mało się ruszam z tego miejsca. Nie podoba ci się u mnie...

– Klepiesz biedę, to widać.

– A wiesz, od lat zadaję sobie to pytanie, co ja tu robię i teraz ty mnie uświadamiasz? Klepiesz biedę... Upadła klasa, bracie. Emigracja to lekcja wiary także siebie. Wiesz, co mnie najbardziej gryzie? Nie zrobiłem tego, co chciałem zrobić. To mnie właśnie bierze. Ale nie myśl, że potrzebny jest mi ktoś, przed kim mógłbym się wygadać. W głowie mi wszystko zbyt szybko chodzi. Cholera, kłapię biedę! A to dobre.

– Przepraszam cię, ale...

– Nie musisz przeproszać. Trafieś w sedno. Moja francuska dziewczyna kiedyś stwierdziła... jest ci tu źle, a ja odparłem: coś ty, mała, wszystko ze mną jest OK. Gdybym jej przytaknął, byłaby zdolna jedynie do tego, aby powiedzieć... moje biedactwo... Nic więcej. Cóż, sukces rodzi zawsze potem niepowodzenia, ale ja byłem tu kiedyś blisko sukcesu. Wtedy miałem jeszcze ambicje. Ale ambicja to narowisty koń. Może zrzucić jeźdźca, choćby krótko trzymał cugle. Przestałem pisać, upojony tym sukcesem na początku. Po prostu poczułem, że to już nikogo nie obchodzi, czy piszesz, czy też nie. Czy też to, iż wyczerpałeś temat. Chciałem być wolny. Zawsze kiepsko znosiłem krytykę i przez nią przepiłem pół swojej wątroby...

Cały czas mówił, a ja milczałem. Co mogłem mu powiedzieć więcej, niż to, co sam powiedziałem? Mroczna chwila, w której zanikł zupełnie sens odwiedzin starego przyjaciela. I ta bomba z nim wybuchła metr ode mnie. Przygłuszył ją huk czajnika, który przychał na piecyku. Nie podniósł się z wyra, aby zalać wrzątkiem dwa metalowe garnuszki. A może nawet nie miał

herbaty?

– Chyba nie trzeba cię odprowadzać do samochodu... Jestem pewny, że sobie poradzisz – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Tak, dam sobie radę.

– I pamiętaj, żebyś zawsze cierpienie ubierał w kostium bohaterstwa. A właśnie... nieopodal Łuku Triumfalnego w eleganckiej dzielnicy, mieszka pewien polski aktor. To on mi tak kiedyś powiedział o tym kostiumie. Aktorom łatwo mówić. Poznałem go rok temu na jakiejś naszej narodowej placzce. Często tu płaczemy z byle powodu. Choćby z tego, że pełno takich aktorów wokół nas. Więcej niż lekarzy, elektroników czy pisarzy. Co tam się dzieje w tej waszej Polsce? Czy tak trudno jest wam żyć pod jednym dachem?

– Tak, bracie. Szczególnie ludziom nadwrażliwym.

– Kiedy jest się nadwrażliwym, człowiek dostaje alergii... Piszemy o tym dopiero wtedy, kiedy docierają do nas złe wieści. Złe wieści zawsze do nas dotrą.

– Dlaczego tu tkwisz, dlaczego nic nie robisz, aby...

– To warte zastanowienia. Kiedyś myślałem, że złapię świat za rogi. Myślenie, to strata czasu. Nie myśli się, kiedy się ma dwadzieścia lat. Stary zapach młodości. Aż trudno uwierzyć, że kiedyś mieliśmy po dwadzieścia lat. A teraz jest pustka. Idź już. Zaraz wróci Morris. To lajdak, ale francuski lajdak, który jest to u siebie, a ja u niego...

Kazimierz Iwosse

Iwona Pinno

* * *

Córcze Isabelle, studentce paryskiej Sorbony

Nie wolno się ich bać
Choć strach ma wielkie oczy
W Łuku Triumfalnym bogactwo
Historii Republiki ofiarującej
Nam chwile w których ludzie
Odkryją na nowo siłę do walki
Zamaskowanymi po wilcze
Zęby – wrogów ludzkości

A Paryż będzie nadal miastem
W którym zakochani wędrują
Jego uliczkami odkrywając
Będą dumę i piękno
Zaś w kafejkach miast
Strzelniczego prochu
I jadu nienawiści
Zapachnie świeżo
Parzoną kawą

Dziś jeszcze snują się
Żalobne chmury nad Sekwaną
Z tamtej najczarniejszej nocy
i całun kiru otula
Katedrę Notre Dame

Hamburg, 13/14 listopada 2015